

Feliks W. Kres

JEŹDŹCY RÓWNIN

Opowiadanie

1.

Rozległy zagajnik był jedynym skupiskiem drzew w okolicy. Podnosiło go to do rangi istnego pępka świata; wokół nic – tylko trawiaste równiny. Dosiadający śmigłego gniadosza mężczyzna pędził ku drzewom myśląc, że takie miejsce to niedobre miejsce. Przyciągało uwagę. Przecież każdy, kto szukał w tych stronach czegoś albo kogoś, musiał najpierw pomyśleć o tym lasku. Lub szukać wiatru w polu.

Szukanie wiatru w polu... Czasem przychodziło mu na myśl, że to stare armektańskie powiedzonko jest całkiem nieprawdziwe. Wiatr na Wielkich Równinach musiał znaleźć każdy. Inna sprawa, że nikt go nie złapał.

Jego oddział nazywał się Wiatr.

Koń cwałował ku drzewom. Kilku ludzi, ukrytych na skraju zagajnika, z uśmiechami patrzyło na dziką galopadę. Jeden z widzów, bardzo młody mężczyzna, odrywał od gałązki kolejne listki, mrucząc:

– Zabije się... nie zabije... zabije... nie zabije... Zabije się – powiedział, upuszczając ostatni liść.

Jednak było to niemożliwe. Nikt na całym świecie nie jeździł konno tak, jak dowódca Wiatru. I nikt nie miał takiego konia. Gniadosz zarył kopytami i zatrzymał się pięć kroków przed skrajem lasu. Przeplatając nogi, zatańczył bokiem w lewo, potem w prawo. To był jego własny koński pomysł, dowodzący, jak się zdawało, najwyższego ukontentowania. Jeździec roześmiał się serdecznie, zeskoczył z siodła i poklepał zwierzę po szyi. Wielkie chrapy dotknęły jego twarzy.

– Hej, Aktar! Tutaj! – rozbrzmiało spomiędzy drzew. – Ruszamy, czy zostajemy? Gdzie zgubiłeś Ajaną?

– Ajana przenocuje we wsi. A my zostajemy tutaj.

– Przecież każdy, kto będzie przejeżdżał, przyjdzie tu zrobić kupę – zdziwiła się jakaś kobieta, skryta w lasku jak inni. – To jedyne krzaki w okolicy.

– Co ty powiesz.

Przybysz rozkulbaczył wierzchowca i wszedł między pnie, niosąc siodło. Koń popatrzył za nim, a następnie położył się na trawie. „Nie idę. Nie można tam biegać, a tutaj też mnie nie widać”.

Rozłożeni w zaroślach na skraju lasu ludzie byli, na pierwszy rzut oka, łudzaco do siebie podobni. Nikt nie nosił pstrokatego ubioru, przeważały szarość, zieleń, brąz. Wszyscy mieli broń w zasięgu ręki – nieduże łuki i strzały, a niektórzy ponadto krótkie miecze, wojskowe lub podobne do wojskowych. Dowódca nie wyróżniał się niczym szczególnym: średniego wzrostu, raczej szczupły, młody, w szerokiej brunatnej spódnicy jeźdźca i szarym kaftanie. Przez ramię przewieszony miał sajdak.

– Nie podoba mi się tutaj – przyznał, rzucając siodło na trawę. – Ale nocleg w szczerym polu to pomysł jeszcze gorszy. Do wsi nie pojedziemy, Ajana rano przywiezie nam zapasy. Dopiero co było we wsi wojsko, nasi przyjaciele gęsto musieli się tłumaczyć, dlaczego udzielają nam gościny. Nikt się nie nabierze, że wymuszamy to siłą.

– Posłuchaj Aktar, ten zagajnik śmierdzi – niezbyt ładna, ale bardzo zgrabna kobieta, średniolatka z krótko przystrzyżonymi włosami, chyba naprawdę wierzyła, że podróżni załatwiają w lasku swe potrzeby; zresztą może i załatwiali. – Wolę pospać w siodle i jechać całą noc.

– Droga wolna. Pojeździsz po stepie i wrócisz tu o świcie. Właściwie, Kea, to taki nocny patrol bardzo by się przydał.

Rozbrzmiały ironiczne śmieszki.

Nie wstając z ziemi, Kea mocno wystawiła biodro, lekko klepiąc się po pośladku, co musiało znaczyć: dowódco, pocałuj mnie.

Aktar usiadł pod brzozą.

– Nie wiem, kto tak rozrabia; nie dowiedziałem się – rzekł i uśmiechy zniknęły, a rozmowy zamilkły. Dowódca mówił rzeczy ważne, przedstawiał wyniki swego zwiadu. – Znudziło mi się. Chyba pojedę do Sar Soa, prosto do komendantury garnizonu. Powiem im, kim jestem i odetnę się od wyczynów tych drabów, których szukają. Jeśli cesarscy podzielą się ze mną swoimi wiadomościami, to złapiemy dla nich tę bandę. Albo wytropimy, bo prawie na pewno kręci się teraz w okolicach Erty. Chcecie być przewodnikami legionistów?

Ktoś uśmiechnął się kwaśno, ale Aktar wcale nie żartował, przynajmniej kiedy mówił o prowadzeniu żołnierzy. Od pewnego czasu między Tarwelarem a Sar Soa panoszyła się jakaś nieuchwytna banda, której wszyscy mieli szczerze dosyć. To nie byli Jeźdźcy.

Oddziały Jeźdźców Równin, takie jak Wiatr, istniały w Armekcie od zawsze. W głównej mierze składały się z ludzi, dla których dom był więzieniem, a noclegi pod dachem karą. Jeźdźcy za nic nie płacili, od mieszkańców wiosek brali to, co chcieli, i jechali dalej. Ale czegoż mogli chcieć włóczędzy? Trochę jedzenia, czasem parę ubrań, kilka pleców. Narabiali chłopom drewna na opał, naprawili stodołę, równie często nic nie zrobili, bo im się nie chciało. Byli jak sam Armekt: wieczni, zawsze tacy sami, wszechobecni jak wiatr na Równinach i dokuczliwi jak mżawka – ale też tak samo nieuchronni. Wojsko pogoniło ich czasem, bez zapału i bez przekonania, bo od zawsze wojsko goniło Jeźdźców, Jeźdźcy zaś uciekali przed wojskiem. Gorzej, gdy skrzyknęło się paru obwiesiów, chcących czegoś więcej, niż samej wolności pod wysokim niebem. Chłopi gotowi byli nie tylko poskarżyć się żołnierzom, ale i złapać za siekiery w obronie dobytku, zwłaszcza zaś córek i żon. Co z tego? Bydlaki potrafiły podpalić w nocy chałupy na obrzeżach wioski – już nie po to,

by dopiąć swego, ale z zemsty. A takich rzeczy Legia Armeckańska nie puszczała płazem. Zaczynało się polowanie, od którego najbardziej cierpieli Jeźdźcy Równin. Dowódcy oddziałów wojskowych nie bawili się w dochodzenia; zresztą w jaki sposób mieliby ustalić, czy napotkana wataha spaliła wieś przed tygodniem, czy też zrobiła to jakaś inna grupa? Od rozstrzygnięcia takich kwestii był Trybunał Imperialny. Tyle tylko, że Jeźdźcy nie za bardzo chcieli maszerować na spotkanie z cesarskimi sędziami.

Aktar i jego ludzie już od dłuższego czasu wymykali się wojskowym półsetkom i klinom. Stoczyli dwie potyczki – niepotrzebne, obustronnie krwawe. Do wioszek zaglądali nieczęsto. W spokojniejszych czasach chłopcy rzadko donosili na Jeźdźców, ale teraz, pytani przez wojskowych, na wyścigi rozprawiali o doznanych krzywdach, byle tylko ich nie posądzono o sprzyjanie grupie morderców.

Aktar zadumał się głęboko. Nie zawsze był Jeźdźcem i nie zawsze dowodził Wiatrem. Kiedyś miał pod komendą oddział nie inny niż ten, który teraz bruździł na Równinach. Gadanie o ściganiu przez Wiatr grupy rzeźmieszaków i morderców, było tylko takim tam gadaniem... Jego ludzie nie byli zabójcami. W potyczkach z żołnierzami brali srogie ciężki, cóż dopiero mówić o bitwie z bandą zbirów, niemających nic do stracenia. Jednak prowadzenie wojskowego oddziału, to było co innego. Rzeczywiście mógłby dostarczyć legionistom dobrych przewodników, znających wszystkie przeprawy i brody, każdą wioskę, każdy strumyk, każdy las i każdy zagajnik.

– Co robimy? Radźcie – zażądał. – Po stepie biega tyle wojska, że jutro lub pojutrze wyrzną nas do nogi, chyba że zgodzimy się pojechać na rozmowę ze śledczymi Trybunału. Co było wczoraj? – przypomniał.

Karna dziesiątka konnych łuczników z Sar Soa rozgoniła Wiatr na... cztery wiatry. Dokładnie na cztery wiatry, bo tyle grup uciekło we wszystkie strony świata. Najwięcej ludzi zostało przy Aktarze: osiem osób, blisko połowa.

– Co robimy? – dowódca nie pozwolił, by pytanie zbyt milczeniem; był niekwestionowanym wodzem tych ludzi i w sytuacjach, które tego wymagały, bez wahania wydawał rozkazy, przyjmując za nie pełną odpowiedzialność. Jednak, gdy czas pozwalał, żądał by wszyscy brali udział w podejmowaniu decyzji.

– Co z naszymi? – zapytał młody chłopak, ten sam, który wcześniej liczył odrywane od gałązki liście.

Leżąca na ziemi kobieta poruszyła się niecierpliwie.

– A co byś chciał? Co, Wenewet? – zagadnęła. – Możemy ich szukać na świecach, ale wątpię, by mogli tam czekać tygodniami. W stepie za duży ruch.

„Świecami” nazywano miejsca zbiórek, określone wcześniej właśnie na wypadek rozproszenia oddziału. Jednak Kea miała sporo racji: wojsko bezustannie tłukło się od wioski do wioski i od lasu do lasu. Jedynym sposobem na przechrzenie legionistów było pozostawanie w ciągłym ruchu. Lub ukrycie się w głuchych borach, co jednak nie rokowało nadziei na rychłe odszukanie towarzyszy, a w zamian dawało gwarancję utraty połowy koni, zjedzonych przez wilcze stada, bardzo liczne i groźne w tej części Armecktu.

– Ma rację – mrukiwie powiedział masywny mężczyzna, chyba trochę za duży na jeźdźca-obieżyświata, którego koń nie powinien uginać się pod ciężarem.

Aktar spojrział na swego zastępcę, potem na Keę i ponuro potrząsnął głową, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że cała starszyzna Wiatru skupiła się w jednym oddziale, mimowolnie na pastwę losu pozostawiając mniej doświadczonych towarzyszy.

– No, ale co z naszymi? – nalegał młody Wenewet.

– Znajdą się lub wyginą – powiedział krótko Aktar. – Pytam, czy iść do żołnierzy? Czekaj, Nelen – powstrzymał masywnego. – W ten sposób najlepiej pomożemy naszym. Opiszemy ich legionistom, może jakoś to między sobą rozpowszechnią. A przede wszystkim skrócimy tę całą gonitwę. Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

– Wierzysz w umowy z wojskiem? – zapytała Kea.

– Z wojskiem? Wierzę. Nie wierzę w układy z Trybunałem, bo cokolwiek nam obiecują, i tak się skończy na skazaniu za włóczęgostwo. Ale w umowy z wojskiem wierzę.

– Przyjmą taką... ofertę? Jeźdźcy za przewodników?

– Przecież jest rozsądna. Kto lepiej od nas zna Równiny? Żołnierze jeżdżą po Równinach tylko wtedy, kiedy muszą, bo patroli na traktach nie liczę. A my tutaj mieszkamy. Legia wiele razy brała Jeźdźców na przewodników. I świetnie o tym wiesz.

– Kto pojedzie? I gdzie? Do Sar Soa? – kobieta nawet nie próbowała skrywać niechęci, a nazwę wielkiego miasta wymówiła z wyraźnym obrzydzeniem; Jeździec w takich miejscach nie był.

– Ja pojedę. Do Sar Soa, a jakże.

– Nie zostanę pod komendą tego głupka – powiedziała, patrząc na Nelena. – On nawet nie umie gadać, tylko by mnie ruchał i nic więcej.

– „Ten głupek” pojedzie ze mną, ty obejmiesz komendę nad oddziałem – sucho powiedział Aktar; Kea potrafiła być nieznośna. – Czy wszyscy się zgadzają?

Nikt nie zaprotestował.

Aktar i Kea wspólnie objęli pierwszą wartę. Nie brali udziału w losowaniu, korzystając z przywilejów, jakie dawała im pozycja w grupie. Starszyzna tylko w wyjątkowych sytuacjach trzymała nocną straż, podobnie zresztą wyglądała sprawa z wypełnianiem wszystkich innych obowiązków obozowych.

Pełnili swą służbę niedbale – za takie stanie na warcie każdy z ich podkomendnych zostałby surowo skarcony. Zamiast pojedynczo okrążyć zagajnik, siedli razem na jego skraju i gadali. Dowódca Wiatru miał poważne problemy sercowe. I życiowe; stał na rozdrożu. Kea z babską skwapliwością udzielała porad.

– I co myślisz? – pytał mężczyzna. – Powiedz szczerze, chcę usłyszeć prawdę.

– To nie dla ciebie, Aktar.

– Co nie dla mnie? Ona?

– Ona, dzieciak, dom... No i ożenek.

– Zaraz będę miał trzydzieści lat.

– No, nie tak znów zaraz.

– Nie mogę przez resztę życia galopować po Wielkich Równinach.

– Starczy tego życia na wszystko.

Aktar wzruszył ramionami. Kea ze śmiechem położyła się na plecach, podkładając ramiona pod głowę.

– Pamiętam – rzekła, patrząc na gwiazdy – jak moja babka rozmawiała z kimś, już nie wiem z kim, o śmierci jakiegoś człowieka, też nie wiem kogo, nieważne. Że tamten taki młody, pięćdziesiąt lat dopiero, a już umarł, mógłby pożyć jeszcze. Babka miała wtedy dobre sześć krzyżyków, a ja czternaście albo szesnaście lat i myślałam sobie: jaki on tam młody?! Pięćdziesiąt lat, przecież stary jak nie wiem co. A dzisiaj mam czterdzieści trzy lata, i wiesz co? Myślę sobie, że ten człowiek młodo umarł, mógł jeszcze trochę pożyć.

Aktar poruszył się niecierpliwie.

– No więc dobrze, ja też jeszcze trochę pożyję. Ale jakie to ma być życie? Tam czeka na mnie kobieta nosząca moje dziecko, syna – rzekł z dumą i pewnością, które przesądzały sprawę. – Dziś mogę mieć dom i rodzinę, jutro... Nie wiem, co jutro. Może już tylko te równiny?

– A może odwrotnie? – Kea nie chciała ustąpić. – Równiny możesz mieć dzisiaj, a jutro... No właśnie, nie wiadomo, co jutro, sam powiedziałeś. Ale najważniejsze, że dzisiaj nie możesz mieć domu i rodziny. Mówię ci.

– Dlaczego nie mogę?

– Bo miałeś za mało kobiet, za mało wolności, za mało jazdy konnej, przygód, niebezpieczeństw... Wszystkiego, wszystkiego za mało. Ożenisz się, a za rok, gdy upłynie termin małżeńskiej próby, uciekniesz.

– No, to najwyżej. Wrócę wtedy do ciebie.

– Ja już będę miała innego dowódcę, albo może swój własny oddział. Eh, Aktar, pewnie że możesz wrócić na Równiny, wszystko możesz, ale o co właściwie mnie pytasz? Chciałeś wiedzieć, co myślę o twoich planach, no to ci powiedziałam. Mówisz, że najwyżej, jeśli się nie uda, stracisz rok albo dwa lata życia. Uważasz, że warto spróbować. No to próbuj. Ja uważam, że nie warto, bo i tak się nie uda. Szkoda tego roku czy dwóch. Dom, własne świnki i krówki. Gówno, nie życie – powiedziała. – O, gdybyś chciał się żenić z...

Urwała.

– Z kim? – zapytał Aktar.

– Ze mną – powiedziała ze śmiechem.

– Zastanowię się – rzekł tak samo. – Czemu nie? Ale nie o sobie myślałaś.

– Nie. Nie o sobie.

– A o kim?

– O Ajanie – powiedziała z westchnieniem. – Bardzo ją lubię i bardzo mi jej żal.

– Ajana? Przecież to dzieciak.

– E tam, dzieciak. Dałaby się zabić dla ciebie. To jest dziewczyna, z którą mógłbyś dzielić wszystko: najpierw życie w siodle, potem dom. Gdybyś mi powiedział: chcę się ożenić z Ajaną, odpowiedziałabym: to się żęń.

Spojrzała w bok i dostrzegła, w półmroku gwiazdzistej nocy, lekki uśmiech na twarzy swego towarzysza.

– Śmiejesz się?

– Bo to trochę śmieszne – przyznał. – Ja i Ajana? Ale... żona? Moja, czy w ogóle czyjaś żona, Ajana? W jaki sposób Ajana może być czyjąś żoną? Albo ty.

– Mogę być żoną Jeźdźca – powiedziała z wielką powagą, której nie oczekiwał. – Ja już nawet byłam żoną Jeźdźca. I byłam dobrą żoną. Przez czternaście lat.

Przyglądał się jej twarzy, prawdziwie zaskoczony i zdziwiony.

– Miałaś męża, Kea?

– Wspaniałego męża. Wspaniałego jeźdźca. Zachorował i umarł – powiedziała. – Jestem sama od siedmiu lat.

Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Znałem go? – zapytał.

– Ze słyszenia.

– Powiedz, kto.

– Nie – rzekła wstając. – Jak powiem jego imię, to się zaraz rozplącę. Mamy wartę. Obejdź te krzaki z lewej strony, ja obejdę z prawej.

– Przepraszam cię, Keo – powiedział.

– Nie przepraszaj. I nie żeń się z tą...

– Gresą.

– Nie żeń się z tą Gresą. Ma wredne imię i na pewno nie umie jeździć konno. A ty potrzebujesz żony, która jeździ konno jak nikt inny na świecie. Wartujemy, czy nie?

– Wartujemy.

Rozeszli się w dwie strony, by okrążyć zagajnik.